



Mirosław Derecki

## SPOJRZENIE ZZA KLAWIATURY

### ROZMOWA Z JACKIEM ABRAMOWICZEM

- Minęło ponad trzydzieści lat od czasu, kiedy zdecydowałeś się na zawód muzyka, związanego przede wszystkim z estradą i kabaretem. Grasz na fortepianie, akompaniujesz piosenkarkom, komponujesz. Masz za sobą pracę w zadymionych kawiarniach, w ciasnych salkach kabaretowych, w estradowych zespołach tłukących się po prowincji. A przecież ty studiowałeś prawo! Dzisiaj mógłbyś być sędzią, prokuratorem lub co bardziej lukratywne - adwokatem z długoletnią praktyką, z liczną klientelą. Tak jak wielu dawnych kolegów, muzykujących studentów, z którymi zaczynałeś. Nie żal ci, że wzięłeś kiedyś rozbrat ze studiami prawniczymi? Uważasz, że dobrze zrobiłeś?

- Uważam, że tak. Przecież powinno się w końcu robić w życiu to, co naprawdę człowieka pasjonuje. A nie i upartym „rozsądkiem” brnąć w coś, na co się straciło ochotę, co ma być jakoby dla twojego „dobra” w istocie zaś jest spełnianiem ambicji rodziny lub bliskiej osoby. Ja najlepiej czuję się przy klawiaturze. W prawniczej tożde byłoby mi za ciasno i za gorąco. Pewnie już to przeczuałem, gdy podczas studiów na UMCS w połowie lat pięćdziesiątych zakładałem swój pierwszy zespół muzyczny.

- Zespół „Bemol”?

- Jeszcze nie „Bemol”. To była grupka kolegów lubiących muzykę. Graliśmy muzykę rozrywkową i taneczną na okolicznościowych akademiach i zabawach studenckich. Przyjmowaliśmy do zespołu każdego, kto chciał i potrafił grać.

- Graliście bardziej dla przyjemności czy dla chleba?

- Dla chleba także. Stawki mieliśmy następujące: ja jako kierownik zespołu dostawałem 150 złotych za całą noc ciężkiej pracy, a pozostali - po sto złotych. Ale jak mam dzisiaj przeliczyć tę kwotę? Na dzinsy z Turcji? Na dolary po czarnorynkowej cenie? Na młodzieńczą satysfakcję? Zresztą nie myśleliśmy bezustannie o przeliczaniu. Grało się, bo się lubiło grać, i jeszcze wpadło za to parę złotych.

- A kiedy powstał „Bemol”? Pytam, bo „Bemol” to początek historii lubelskiego jazzu.

- W połowie 1955 r Najpierw zresztą w nietypowym jeszcze składzie, grającym utwory taneczne. Ale dość szybko przekształcił się w zespół dixielandowy grający jazz tradycyjny. Temu zespołowi szefowaliśmy wspólnie z klarncistą i saksofonistą Ryszardem Woyno. Wówczas studentem historii sztuki KUL. Dzisiaj Rysio jest szacownym urzędnikiem, wicedyrektorem Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Lublinie. A ja zostałem przy muzyce i przy fortepianie.

-My wciąż o występach, o „Bemolu”, o jazzie, a zapomnieliśmy o rzeczy podstawowej: skąd to twoje granie?

- No, bo nauczyłem się go: skończyłem szkołę muzyczną im Stanisława Moniuszki we Wrocławiu.

- Wiec chciałeś zostać muzykiem?

- Oczywiście!

- To dlaczego poszedłeś na...prawo?

- Wcale nie tak zaraz - na prawo. Najpierw była Akademia Górniczo-Hutnicza w Krakowie, na którą wstąpiłem - niestety - za namową rodziców. Miałem zyskać fach, który przynosi pewny i uczciwy kawałek chleba. Potem była przymiarka do Wyższej Szkoły Aktorskiej również w Krakowie? Po dostaniu się na wydział aktorski zrezygnowałem po kilku miesiącach.

- Nie czułeś w sobie „iskry Bożej”?

- Skądże! Uległem perswazjom rodziny. No i w końcu, jako że w rodzinie mieliśmy sporo prawników, przekonano mnie, że jak już nie chcę zostać inżynierem-górnikiem jak wykazałem dość „mądrości”, żeby nie wiązać się ze sceną to pozostaje tylko kontynuować rodzinne tradycje prawnicze.

- Ale ciebie wciąż, ciągnęło do sztuki...

- Na to wychodzi. Chociaż nie żałuję wcale, że nie zostałem aktorem. Dziś, z perspektywy lat, zdaję sobie sprawę, że moim właściwym życiowym powołaniem była jednak muzyka. Tylko kto z nas, poza bardzo nielicznymi wyjątkami, mając lat dwadzieścia i pełno „doradców” na karku, wie na pewno, co jest jego życiowym powołaniem?

- Właściwie poświęciłeś się jednak, poza muzyką, także scenie. Estradzie, kabaretowi...

- Pewnie była we mnie zawsze jakaś dwoistość. A trochę wynikło to z przypadku. Jako student trzeciego roku prawa otrzymałem propozycję współpracy z lubelską „Estradą”. Była druga połowa lat pięćdziesiątych. Pojechałem w charakterze pianisty-kompozytora w swoje pierwsze estradowe tournée po województwach: lubelskim, białostockim i bydgoskim. Skład zespołu przedstawiał się niebagatelnie: Stefan Wiechecki (popularny felietonista

„Wiech”), Ewa Witting-Larsen - śpiewaczka Opery Warszawskiej, jazzująca niemiecka piosenkarka Ellen Morris, Tadeusz Chełmiński - obecnie jeden z najwybitniejszych na świecie iluzjonistów, występujący pod pseudonimem „Salvano”, oraz Eugenia Borysewicz, która prowadziła konferansjerkę. No i ja. To był złoty okres dla artystów estrady. Rynek niesamowicie chłonny i, zdawało się, niewyczerpany. Ludzie walili do sal drzwiami i oknami. Nie to, co teraz.

- A dlaczego dzisiaj nie walą?

- Bo dzisiaj rynkiem estradowym zawładnęła muzyka młodzieżowa: niezliczona ilość zespołów muzyczno-wokalnych. „Mocne uderzenie”, heavy-metal itp. A poza tym jest teraz wszechobecna telewizja, która zatrzymuje ludzi w domu. I co nie mniej istotne, fakt, że dzisiaj ludzie są zaganiani za pieniądzem przepracowani, zmęczeni. Jak już ktoś wreszcie znajdzie chwilę wolnego czasu, to woli w miękkich ciapach siedzieć w domu, zamiast szykować się do wyprawy z odległego najczęściej, osiedla do centrum miasta na występ. Nie dotyczy to, oczywiście, młodzieży, która niestrudzenie (do czasu!) biegnie na dyskoteki.

- Mówisz o estradowych „ansamblach”, o dużych imprezach. A kameralny kabaret, forma estradowa, która jest ci chyba najbardziej bliska... Czy przetrwało zainteresowanie kabaretem?

- Wyobraź sobie, że tak! Obserwując, na co dzień te sprawy od prawie trzydziestu lat, to znaczy od chwili, gdy związałem się z lubelskim „Czartem”, (który zakładaliśmy jeszcze w końcu 1959 r. z dziennikarzami „Kurier Lubelskiego”, Andrzejem Malinowskim i Ryśkiem Nowickim), z niejakim zaskoczeniem stwierdzam, że kabaret to jedna z niezbyt licznych w naszym kraju instytucji, która wciąż jakoś prosperuje?

- Hmm... A co najbardziej widzom w tym naszym polskim kabarecie odpowiada: abstrakcyjna sytuacja, polityczna satyra, pure-nonsensowy wydźwięk, piosenka?

- Przede wszystkim - satyra polityczna.

- Wentyl, który pozwala schwytać, na chwilę oddech?

- Ale obserwuje się zarazem pewien zwrot w „zapotrzebowani” ze strony publiczności. No bo w jakimś momencie wszystkie kabarety w kraju z taką zachłannością rzuciły się na satyrę polityczną, że nastąpiło coś w rodzaju przesytu u widzów.

- Tak jak rozliczanie stalinizmu i beriowszczyzny - wśród czytelników prasy...

- Jest u widza większe zainteresowanie stroną wokalnno-muzyczną kabaretowego programu. Oprócz humoru i satyry publiczność żąda dobrej piosenki

- Sentymentalnej? Lirycznej? Ekspresyjnej?

- To także. Ale przede wszystkim - piosenki aktorskiej, charakterystycznej, o lekkim zabarwieniu satyrycznym

- To znaczy wraca do łask styl kabaretu sprzed lat dwudziestu - trzydziestu?

- Niezupełnie. W tamtych kabaretach dominowały sprawy typowo lokalne, powiedziałbym regionalne. Na ogół - bliskie danemu miastu, regionowi, środowisku. Wynikało to między innymi ze swoistego „zasiedzenia”, z „prowincjonalizmu” ludzi i środowisk. I zespoły artystyczne, i sami widzowie mało podróżowali po świecie. Czy choćby nawet po kraju. Nie było jeszcze telewizji. Dzisiaj jest zupełnie inaczej. Program kabaretowy - nie mówiąc o estradowym widowisku - musi być uniwersalny. Skonstruowany i napisany w taki sposób, żeby potrafił bawić tak samo widza w Lublinie, jak we Wrocławiu czy Szczecinie.

- Współpracowałeś przez całe lata z bardzo różnymi, jeśli chodzi o emploty i o styl, artystami kabaretu i estrady. Ładnie przychodzą i odchodzą ze sceny, stoją się ulubieńcami publiczności lub idą szybko w zapomnienie, talent jednych bezpowrotnie przemija, sztuka innych jest wciąż świeża i żywa... Skąd się to bierze? Który z artystów kabaretu pozostaje dla ciebie, mimo upływających lat i zmieniających się „epok”, wciąż żywy, stale aktualny?

- Jeśli chodzi o kabaret, to nie widzę nikogo spośród aktorów wywodzących się ze szkół teatralnych. Najlepsi twórcy i odtwórcy kabaretowi zaczęli kiedyś jako utalentowani amatorzy. Jako ludzie, którzy „urodzili się” a nie „wykształcili” dla sceny. Warsztat profesjonalny przychodzi z czasem. Ale talentu - wbrew temu, co usiłowano lansować przez całe lata - nie zapewni żaden dyplom. Wymieńmy tylko kilka nazwisk z tak zwanego świącznika kabaretowego: Wojciech Młynarski, Jan Pietrzak, zmarły niedawno - Jonasz Kofta... Żaden z tych twórców i zarazem wykonawców nie posiadał nigdy „odpowiedniego profesjonalnego przygotowania”. A jak grają, śpiewają, piszą teksty komponują?!

- Wspominaliśmy o „Czarcie”. Zastanawia mnie pewna rzecz: twoje nazwisko wciąż wprawdzie figuruje na kabaretowym afiszu, ale od dwóch już programów nie widać cię na estradzie, przy klawiaturze fortepianu. To... jak to jest?

- Dwadzieścia osiem lat fizycznej obecności na scenie „Czarta” to chyba bardzo dużo. Może, więc wystarczy, że jestem tam teraz częściej obecny - duchem. Choćby, jako współautor niektórych piosenek... Od pewnego czasu poświęciłem się nowo powstałemu kabaretowi pod nazwą „Kwartecik”, który założyliśmy wraz z moją żoną, Danką i dwoma kolegami. „Kwartecik” działa przy Agencji Koncertowej OSE w Lublinie. Pisano już o nim sporo i pewnie usłyszysz o nim jeszcze więcej!